

Redakcja Literacka:
Autor: Bogumiła Dziekan

409
Dnia: 8 kwietnia 1971 r.
godz.: 16.35 - 16.55

ZAŁEDWIE PRZELOTNE

RA. [handwritten signature]
Przyjechali w pierwszych dniach listopada, możliwe, że przybyli w Zaduszki, lub może dzień czy dwa po świętach, tego nikt nie umiał sobie przypomnieć, tak, że rok i dzień ich przyjazdu do tej letniskowej miejscowości umknął pamięci jej mieszkańców.

Wies, dwoma niesymetrycznymi półkolami położona była nad szeroko rozlaną rzeką, jeziorom podobną, przez którą przerzucony lekki w konstrukcji most łączył ją malowniczą klamrą. Na wodzie, przy obu jej brzegach, i zimą i latem, kołysały się byle jak przycumowane łodzie. Niedaleko mostu, tuż nad samą rzeką wybudowano hotel - gospodę, niski, rozłożysty budynek otaczały werandy, w słońcu odbijające wiele słońc, nocą powtórzone w ciemnych wodach rzeki. W deszczowe ponure dni dom straszyl odpadającym tynkiem, wybite szyby licznych okien werandy szczyrzyły ostre kły.

Wies leżąca w kotlinie, ze wszystkich stron otaczały lasy schodzące ze wzgórz ku wodzie, lasy mieszane, drzewa wielkie, nad rzeką pochyłe.

Cały krajobraz, w szeroko rozlanej, jeziorom podobnej rzece, w zależności od światła i pory, wyłaniał się, to nieruchomy, to kołyszący, często sprawiając wrażenie bardziej rzeczywiste od wsi, teraz zwanej letniskiem, do której oni przybyli w pierwszych - co do tego wszyscy byli zgodni - dniach listopada.

Letnicy dawno już odjechali, liści wiele opadło, ptaki odleciały, a oni pod dwoma czarnymi parasolami, nie spiesząc się, wychodzili na spacer, nie spotykając nikogo, a będąc widzianymi przez wszystkich. Ludzie przecierali zalewane deszczem okna i patrzyli na tę parę w zdumieniu. Ale tylko przez pierwszy listopad, którego teraz, przypominając nie potrafili określić w jakim był roku, może dziesięć lat wstecz, a może więcej.

Oboje, i ją i jego, cechowała niezwykła wprost uprzejmość dla obcych. Mieszkali w hotelu, jadali w gospodzie i chętnie rozmawiali z pracującymi czy kręcącymi się tam ludźmi. Jak sobie potem przypominano, nigdy nie mówili o sobie, o swoim życiu, nikt właściwie nie wiedział, skąd przybyli, kim byli. Widywano ich zawsze razem, szli blisko siebie, nie trzymali się jednak za ręce i nie patrzyli na siebie. Bywało, wiatr w porywach rozrzucał liście na drodze, ona chwiała się i zasłaniała twarz, raz nawet - widziano i to - objęła drzewo by

przeczekać gwałtowny napór wiatru. Stał przy niej, lecz ramienia jej nie podał.

W gospodzie, dokąd schodzili na posiłki, przypatrywano im się bacznie, nie wyglądali na szczęśliwych, kobieta była jakby nieobecna, nieruchomym smutnym wzrokiem patrząca przed siebie, on sprawiał wrażenie nadąsanego, obrażonego, może. Z chwilą jednak kiedy zjawiał się ktoś znajomy, na przykład kierownik, człowiek niezwykłej tuszy, o wybałuszonych, rybich oczach, ponury i nietowarzyski, oboje równocześnie zrywali się, uśmiechali się promiennie, prowadzili go do swojego stolika, częstowali hojnie i rozprawiali żywo, gorączkowo dostosowując temat do zainteresowań - jak przypuszczali swojego gościa. Byli podekscytowani, przytrzymywali go różnymi sposobami, jakby był wybawieniem. Po jego odejściu znowu popadali w poprzedni stan, ona rysowała coś machinalnie na serwetkach, on bezmyślnie obracał kieliszek. Krzesła ich zawsze stały, nie naprzeciw, lecz tuż obok siebie jak w teatrze.

Zapewne, kiedy tu przyjeżdżali w pierwszych latach, byli jeszcze młodzi, trudno to było sobie przypomnieć i mimo, że nie zmienili się prawie wcale, jednak postarzelili bardzo, choć ani on nie wykysiał ani ona nie posiwiała. Ludzie odczytywali wiek nie z ich

postaci, nie z twarzy nawet - lecz z oczu.

W czasie pierwszego ich pobytu wieś huczała, interesowali się nimi wszyscy i starzy i młodzi, śledzono ich, podpatrywano, byli na ustach wszystkich, domysłem nie było końca. Tylko jeden człowiek milczał uparcie, słynący z niedyskrecji kierownik hotelu i gospody, uśmiechał się głupkowato w odpowiedzi na zaczepki, czym jeszcze podwajał ciekawość. Życie towarzyskie koncentrowało się w gospodzie któregoś dnia wpadł tam podekscytowany zawiadowca stacji. Rozprawiano właśnie o nieznajomych, których sylwetki oglądano przez wyszczerbione szyby werandy, to ginęły, to wyłaniały się z zadymki śnieżnej. Szli jak zwykle blisko siebie, równym krokiem, przypatrywano im się tak długo, aż skryły ich drzewa lasu, do którego weszli. Wtedy zawiadowca stacji, robiąc efektowne pauzy, to ściszej, to podnosząc głos powiedział: "wiecie co, oni codziennie przychodzą na stację czekają na ostatni pociąg." Niemożliwe - wożali - codziennie? Co to ma znaczyć? Widocznie kogoś oczekują! Tak, napewno czekają na kogoś. Może na matkę. Zapewne pracują ciężko, są naukowcami, chcą odpocząć w ciszy, - A mnie się tam zdaje - uciał krótko zawiadowca - że oni nie czekają na kogoś, oni czekają na pociąg! - Zamilkli. To bardzo niedobrze - myśleli równocześnie. To bardzo, bardzo źle.

Stacja była nieco oddalona od wsi, znajdowała się ona na skraju lasu, a droga skąd nadjeżdżał pociąg wychodziła z lasu i w lesie ginęła. Ostatni pociąg, który się na tej stacji zatrzymywał, przyjeżdżał o dziesiątej z minutami w nocy, stał chwilę, potem tak jak się wyłaniał z jednej strony, tak w drugiej rozplýwał się w lesie. Bywało, że wsiadał do niego jakiś zbląkany pasażer, przeważnie jednak stacja była pusta. Tuż przed przyjazdem pociągu jak gdyby tajemne życie ożywiać zaczęło stację, w budynku z czerwonej cegły, w którego oknach na pierwszym piętrze wisiały różowe firanki, coś dźwięczało, brzęczało, opuszczały się szlabany, zawiadowca wychodził przed dom - krótkotrwałe ożywienie - poczem milkł odgłos oddalającego się pociągu, nastawała noc.

Od dnia przyjazdu przychodzili tutaj zawsze przed dziesiątą, a bywało, że nawet wcześniej. Spacerowali najpierw powoli, równomiernie, lecz w miarę zbliżania się poby przyjazdu pociągu zaczynali się denerwować. Wchodzili do budynku - zawiadowca dobrze pamiętał ich twarze, patrzące na niego z niepokojem przez dzielącą ich szybę - no i cóż to, panie zawiadowco - pytali - co się dzieje, czy on przypadkiem nie ma spóźnienia? Przyjeżdżający pociąg witali z ożywieniem, potem długo patrzyli za oddalającym się i wreszcie schodzili

ze świeżych peronu w noc i ciemność, jedno przy drugim blisko siebie.

A jednak nie zawsze są razem - powiadała pewna gospodyni przy innej rozmowie na temat nieznanym - on do mnie przychodzi co dzień rano po mleko i twaróg, nigdy ona, nie razem, tylko on. I wiecie co? Śmiech bierze patrzeć, jak ten człowiek się spieszy. Prędko, prędko - powiada - niech się pani gospodyni pospieszy. Biegnie potem z tym mlekiem i twarogiem, jakby go pies gonił. Ale nie mogę powiedzieć - zakończyła - płaci dobrze, reszty nie chce, hojny jest, choć dziwny.

Przyjeżdżali zawsze w listopadzie, trudno powiedzieć, czy w samą świętą, czy może później, a wyjeżdżali ostatniego dnia miesiąca.

Nad samą wodą, niedaleko gospody rośnie drzewo, bezlistny pokręcony dziwoląg, z pochyłego pnia wyrastało pionowo drugie drzewo. Nikt z mieszkańców nie zwracał na nie uwagi, stało się częścią krajobrazu, zdziwienie i zainteresowanie budziło tylko wśród letników.

Po latach ludzie z wioski powiadali - ptaki odlatają, niedługo przyjadą n a s i, a w hotelu sprzątaczką zdzierając karty z kalendarza wołała: - panie kierowniku, toć to już znowu

Wszystkich Świętych, trzeba i m przygotować i o h pokój.

Kiedy już przyjechali, witano się familiarnie, a oni jakby z ulgą przyjmowali towarzystwo obcych.

Wieczorem pijacy wracający z gospody, a rozpoznający ich charakterystyczne sylwetki, wołali w ciemnościach: - to wy na stację, co? A na stację, na stację - odpowiadali.

Widziano ich jeszcze - znowu nie umieli ludzie tego sobie przypomnieć, czy było to w czasie ich ostatniego pobytu, czy też wcześniej - jak pewnego dnia, kiedy mgły gęste jak dym opadły na lasy, rzekę i wieś, wypożyczyli łódź, czego nie robili nigdy dotąd. Widziano ich jeszcze wsiadających do niej, ją w futrze, ze spuszczo-
ną głową, jego - sprawnie odbijającą łódź od brzegu. Zanim jeszcze zanurzył wiosła w wodzie, podniosła nagle głowę i uśmiechnęła się szeroko, wesoło do rybaka stojącego na brzegu, potem on zręcznie wiosłując, wbił się dziobem jak w ścianę, w Gęstą mgłę, która się też za nim zamknęła.

Pewnego roku nie przyjechali, oboje, i tego też z początku nie zauważono, potem wspomniano ich jeszcze jakiś czas, by w końcu zupełnie zapomnieć.

Tylko kiedyś zawiadowcy wydawało się, że znowu przyszli na peron, w deszczu bowiem, pod jednym parasolem stała przytulona jakaś para. Podbiegł do nich na tyle rażno, na ile pozwalał mu wiek, ale zobaczył dwoje młodych, obcych ludzi.

- Jak też mogłem się tak pomylić! mruzczał poirytowany - przecież nasi mieliby dwa parasole.